

MAGAZYN OPINII

Pismo.

STYCZEŃ 2023 | NR 1 (61) | ŚWIĘTUJEMY 5. URODZINY

ROZMOWA

**Wilhelm
Sasnal**

PROZA

**Lauren
Groff**

**Igor
Jarek**

**Ai
Weiwei**

PODRÓŻ

**Mirosław
Wlekły**

REPORTAŻ

**Artur
Domosławski**

TRWAJ w bolesnym błogostanie

CENA: 18,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



9 772544 502302

MAGAZYN OPINII

Pismo.

STYCZEŃ 2023 | NR 1 (61) | ŚWIĘTUJEMY 5. URODZINY

TRWAJ
w bolesnym
blągostanie

SZCZERE ROZMOWY ZE ŚWIADKAMI HISTORII. OGLĄDAJ NA NOWYM KANALE YouTube:

Historia mówiona / Kolekcja Muzeum POLIN

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland
Liechtenstein
Norway grants



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej



Dawid Gurfinkiel, fot. Anna Liminowicz / Muzeum POLIN



Kotwice

tekst MAGDALENA KICIŃSKA

MAGDALENA KICIŃSKA (ur. 1987), redaktorka naczelna „Pisma. Magazynu Opinii” i wiceprezesa Fundacji Pismo. Reporterka i laureatka Grand Press 2017. Autorka książek: *Pani Stefa* (Czarne, 2015), *Środki transportu* (Wydawnictwo Literackie, 2019) współautorka (z Marcinem Dziedzicem) *Teraz '43. Losy* (Wielka Litera, 2018). We wrześniu 2021 roku ukazała się książka, którą napisała z Agnieszką Jucewicz, *Dom w butelce*.

S to w kącie pokoju, na nadstawce kredensu, którą kiedyś przyniosłam ze śmietnika. Asymetryczna, po jednej stronie kończy się półokrągłą, szklaną witrzyną. Co miesiąc od pięciu lat w tym właśnie miejscu kładę kolejny numer. Stos rośnie miarowo, każdego roku o dwanaście (lub trzynaście, gdy wychodzi wydanie specjalne) grzbietów wyższy. Dokładam kolejny i chwilę, tylko chwilę na nie patrzę. Dłuższa zaduma byłaby śmieszna. Nie wiem, jak uchronić rytuał przed kiczem, ale wiem, że jest mi potrzebny. Daje poczucie kontroli, przynajmniej w tym jednym momencie przypomina, że istnieje jakiś rytm, jakiś punkt B, do którego dotarłam, wyruszywszy z punktu A.

Bardzo brakuje takich momentów w ostatnich latach, poczucie kolejnych końców jest wiernym towarzyszem. Na liście pęknięć porządku świata, tych, które przebiegają wzdłuż starych osi, globalnych i lokalnych, w ostatnim czasie dopisujemy nowe.

Zapamiętuję je w detalach: to uciekanie na drugą stronę ulicy, żeby nie przejść zbyt blisko innego przechodnia, na pustej poza nami ulicy, tuż po godzinie dla seniora. Głos sanitariusza w reportażu radiowym, kiedy mówi o ciałach przewożonych między pełnymi szpitalnymi chłodniami. Oczy dziewczynki z Michałowa. Duża niebieska torba szwedzkiego sklepu, z którą próbował minąć wojsko i strażników pewien poseł na łące w Usnarzu. Lis na gruntówce w Opacie Dużej: wybiegł z lasu wprost na pas ziemi rozjeżdżonej przez koparki pracujące przy budowie muru na białoruskiej granicy. Zatłoczony pas startowy lotniska w Kabulu. Czerwone linie na mapie w nawigacji na wszystkich ukraińskich drogach zmierzających do przejść granicznych z Polską. Czerwony lakier na paznokciach dłoni całej umazanej ziemią, to było w Buczy czy Irpieniu? Czaplą, którą rolnik ze wsi pod Kostrzynem próbuje wystraszyć, żeby odleciała, żeby nie brodziła w Odrze. Trochę już wyblakła, z jednej strony odklejona od dworcowej ściany kartka z numerem telefonu do centrum pomocy, wypisana niezgrabną, dawno nieużywaną cyrylicą. I te dni, chociaż częściej noce, kiedy domagają się uwagi własna rozpacz albo strach, albo ból, intymne, osobiste, o których nie mówi się na głos, o których nie umie się opowiadać, o których nie ma komu opowiadać.

A co po drugiej stronie? Właśnie takie chwile: dokładanie kolejnego numeru do zbioru. Używanie słów takich jak „piękno”, „dobro”, „wartości”

i szukanie ich przejawów. Słuchanie bez pośpiechu i przerywania, również siebie. Umiar w zajmowaniu sobą świata. Uważne rozglądanie się dookoła i niezostawianie bałaganu ani tych, którzy nie nadążają. Mówienie „nie wiem”, kiedy się nie wie, i szukanie tych, którzy być może znają odpowiedź. Robienie czegoś razem, robienie czegoś dla innych. Poczucie bycia częścią całości większej niż my sami i trwalszej (w tym pomagają: rzeka, góra, las).

Mieć misję albo cel, jeśli to pierwsze słowo ma w sobie zbyt dużo patosu. Odkąd tworzymy „Pismo”, wierzymy, że w naszej pracy to też pomaga odnaleźć sens. Zwłaszcza w tym rozedrgananiu wszystkich końców świata naraz, które co chwilę przypominają nie tylko o własnej kruchości, ale i – niekiedy skutecznie – o daremności naszych wysiłków.

Nie ukrywam, optymizm to dla mnie stale podejmowane wyzwanie, żeby się temu poczuciu nie poddać (a ono kusi, bardzo aktywnie, mam przecież całą, długą listę dowodów, że nie warto walczyć). Wiem też, że ostatnie lata stawiają przed takimi jak my, zachowującymi dość ograniczony entuzjazm w kwestii wiary w lepszą przyszłość, coraz to nowsze i bardziej wymyślne zadania, tak by tej próby nie ułatwić, tor przeszkód, crossfit znoju i gruzu, który piętrzy się jak inflacja, a ty nie masz jak złapać oddechu, bo przecież listopad trwa tu od października do maja, a w dodatku mamy sezon grzewczy, więc brak tchu to w zasadzie może nawet lepszy pomysł.

Ale kiedy piszę te słowa, za oknem prószy śnieg. Jest lekki mróz, może więc jeszcze i rano będzie biało. Lubię tę jasność śnieżnego wieczoru, miękkość świata, gdy pokrywa go choćby delikatna warstwa puchu. Chowa to, co brzydkie, ścina kanty, wycisza ruch, nawet ten intensywny, miejski. Na chwilę robi się spokojnie.

Nie wiem, czy to cisza przed burzą, chciałabym, żeby ten czas trwał jak najdłużej. To moje chcenie, którego nigdy nie nazwałabym przecież inaczej, towarzyszy mi tylko o tej porze roku. Pomiędzy starym a nowym, u progu, na moment przed. Palce jednej dłoni, wciśnięte głęboko, aż do dna kieszeni, splatają się w krzyżyk, jak wtedy podczas przerwy, kiedy ganialiśmy się na szkolnym korytarzu. Są, tak jak wtedy, talizmanem. Nie dam się złapać, nie zapeszę.

Można to nawet, ale ciiiiii, nazwać nadzieją.

MAGAZYN OPINII Pismo.

STYCZEŃ 2023

PROZA

Sunland | 6
LAUREN GROFF

Smutny | 90
IGOR JAREK

POEZJA

Na Pismo | 3
JAN KOCHANOWSKI

Chwila z Pismem | 49
WISŁAWA SZYMBORSKA

Chudy Bill | 69
CHARLES BUKOWSKI

OBRAZ

W KADRZE **Prawda czy fałsz** | 4
JONAS BENDIKSEN

FOTOREPORTAŻ **Wiejski karnawał** | 32
RAMIN MAZUR

KOMIKS **Taka sytuacja** | 70
BERENIKA KOŁOMYCKA

W RAMACH PISMA **Dla Valerie Solanas (...)** | 82
PAULINE BOUDRY, RENATE LORENZ

OKŁADKA **Trwaj w bolesnym błogostanie**
JADWIGA SAWICKA

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Po piśmie**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytania czytelnika

96 | **À propos myślenia na nowo**
ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

89 | **Co w niej trzyma...**
REBECCA MAKKAJ

REPORTAŻ

14 | **Wyschnięty jak Chile**
ARTUR DOMOSŁAWSKI o tym, że brak wody w Ameryce Płd. to też nasza sprawa

ROZMOWA

24 | **Trochę oddzielny**
MAGDALENA KICIŃSKA rozmawia z WILHELMEM SASNALEM

PORTRET

40 | **Biołożka od teatru życia**
JULIA LACHOWICZ pyta MAŁGORZATĘ ŻERNICKĄ-GOETZ o jej badania

PODRÓŻ

50 | **W poszukiwaniu Pabla Escobara**
MIROSLAW WLEKŁY sprawdza legendę o „dobrym narkotykowym królu”

ESEJ EKONOMIA

60 | **Niepewne scenariusze na niepewne czasy**
KAMIL FEJFER analizuje prognozy dotyczące przyszłości gospodarki

HISTORIA OSOBISTA

78 | **Przejrzysta noc**
AI WEIWEI o wolności i tworzeniu w warunkach chińskiej opresji

ESEJ KULTURA

84 | **Archiwum żywego domu**
WOJCIECH NOWICKI o tym, co opowiedzieć mogą archiwalne fotografie

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszzyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Kultura i sekretarzowanie redakcji:** Katarzyna Kazimierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, **Idee:** Karolina Lewestam, **Ekonomia i Technologie:** Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Edyta Zielińska, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Ewa Pluta
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz, **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszzyńska, **Marketing:** Mateusz Roesler, **Promocja:** Ewa Salamon,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, **Fundraising:** Natalia Czarkowska, **Reklama:** reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.

Ja też pracuję w mediach, tak jak ty (...). Jak sobie radzisz z tym, co dzieje się ostatnio w kwestii sztucznej inteligencji? Generowane teksty są lepsze niż to, co niekiedy czytam w mediach. Czy boisz się tak jak ja? To samo spotkało przecież tłumaczy; tylko niektórzy z nich przetrwali, większość tekstów, zwłaszcza online, tłumaczą programy AI. (...) Ludzi słowa zastąpią maszyny słowa, a co stanie się z nami? Jak sobie radzić z poczuciem własnej niepotrzebności? Jak przetrwać, kiedy nic już nie ma sensu?

Jack

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Po piśmie

Drogi Jacku!

Jack nie wiadomo, co myśleć, to trzeba opowiadać bajki.

No więc był sobie raz kot wynalazca. Nazywał się Jan Kotomucen (Czy Mukocoten? Źródła są niejasne). Kot ów cieszył się estymą swojej kociej grupy ze śmietniska, bo dzięki niemu życie stada wyraźnie się poprawiało. Na przykład wymyślił proszek na pchły, a wódz kociej grupy z dumą miauczał ze śmietnika do zgromadzonych kotów: „Ha! Teraz czas, jaki spędzaliśmy na walce z pasożytami, możemy poświęcić na łowienie myszy!”. „Miau, miau!” – wrzeszczały z aprobatą koty, wierząc w Postęp i Wznoszącą się Krzywą Jakości Życia, pięknie zresztą wyrytą pazurem wodza na kontenerze na szkło.

Na tym Jan Kotomucen jednakowoż nie poprzestał i wymyślił szybko system grzewczy dla śmietników, a także niezwykle skomplikowany, lecz niezawodny system ostrzegający przed wrogami. „No i proszę! – z histerycznym wręcz zachwytem perorował wódz. – Teraz możemy się skoncentrować już tylko na myszach!”

Po kilku pomniejszych wynalazkach Janowi Kotomucenowi udało się w końcu zautomatyzować to, co najważniejsze, czyli łowienie myszy. Gdy usłyszały to koty, niektórym przez chwilę zrobiło się trochę łyso, bo zawsze czuły pewną dumę, gdy udało się im coś złowić, ale wtedy wódz miauknął: „Ach! Czyżby naszym przeznaczeniem jako gatunku nie była wieczna krzątania wokół potrzeb fizjologicznych, takich jak głód, ale SZTUKA? Teraz na nią możemy poświęcić swój czas”. I koty od razu zrozumiały, że muzyka, kocia muzyka, a także (a co!) poezja otwierają się przed nimi jako możliwości, bo nie muszą już myśleć o przeżyciu, więc mogą tworzyć. I śmietnisko rozbrzmiało pięknymi (z kociego punktu widzenia, bo Halina Więckowska z pobliskiego parteru miała na ten temat inne zdanie) dźwiękami i zadrgało eposem, w którym chwalono Wielkiego Kota i jego boskie wibrysy, a także opisywano walki między śmietniskami i dalekobieżne kocie migracje.

Pewnego dnia jednak Jan Kotomucen coś tam przykręcał, coś tam przestawiał i nagle odkrył, że zupełnie przypadkiem udało mu się wynaleźć generator kociej muzyki i eposu. Stał więc na klapie od śmietnika, zwołał koty i włączył ustrojstwo na cały regulator. Dźwięki, które zeń wypłynęły, zachwyciły koty niepomniernie „Wspaniale! – zawołał wódz – Teraz czas, który spędzaliśmy na pisaniu pieśni, możemy poświęcić na... poświęcić na... ekhm... na...”. „Na co?” – zawołał jakiś buńczuczny kot. „A skąd ja mam wiedzieć?” – zdenerwował się wódz, obsikał Wznoszącą się Krzywą Jakości Życia i poszedł spać, a wraz z nim inni, bo wszystkich ogarnęła senność i ogólna niemoc. I kto wie, jak by się to wszystko skończyło, gdyby stara Więckowska nie nadepnęła na generator muzyki i eposu, wyrzucając śmieci.

Boję się Jacku, boję się tak, jak bali się rzemieślnicy, kiedy maszyny przyszły po nich, a ja się za nimi nie wstawiłam. Boję się, jak bali się tłumacze, kiedy Google przyszedł po nich, a ja nie powiedziałam nic. Obstawiałam mit bożego dotknięcia duszy, mit ludzkiej kreatywności jako ten, który mnie przeniesie suchą stopą przez morze zmieniającego się świata – ale czuję już, że obiecana nietykalność iskier umysłu była fałszem, tombakiem, starą bajką i legendą; że nawet pisarze, nawet poeci nie różnią się zasadniczo od termostatu, a termostaty robią się coraz lepsze. Boję się, że nie wiem, co powiedzieć mojej córce, która pyta, czy może zostać pisarką, jak dorośnie. Po co ma być pisarką? I wiesz, czego się jeszcze boję? Złości, gniewu, który zwykle czuły klasy pracujące, a który teraz kielkuje we mnie, bo pragnę, by przyszła jakaś Więckowska i nadepnęła na wszystkie serwery. Niech to będzie drugi Ted Kaczynski, *zeitgeist* (myślę) woła o nowego Kaczyńskiego. Upewniłam się w tym, czytając *Unicestwianie* Michela Houellebecqua. On też sięgał po pisma antytechnologicznych terrorystów, tak jak ja, on też ich rozumie, nawet jeśli nie mówi tego wprost. Na barykady, ludu piszący. Dżihad Butleriańska, teraz albo nigdy! Bo inaczej skończymy, tyjąc i bekając w egzystencjalnym sturporze, jak te koty. [Wyprodukowane przez RozmowyZKGenerator2022].

SDK

Poezja w „Piśmie”
powstaje
przy wsparciu
**Staromiejskiego
Domu Kultury**
w Warszawie.

POEZJA

Na Pismo

JAN KOCHANOWSKI

—

Gościu, siądź pod mym liściem i weź „Pismo” w dłonie
A gdy cię słońce parzy, „Pismem” wachluj skronie
Bo z papieru wabnego zawždy jest zrobione
I treściami ciekawymi suto wypełnione

Któżby z „Pismem” szedł w zawód? Kalźdy w nim znajduje
Mądrości, których indziej próżno wypatruje.
Czyli wdzięczne rozmowy, czyli felietony,
Czyli esej o świecie mądrze obmyślony.

Gdybym dziny napotkał, które – powiadają
– Każde twoje życzenie snadnie wypełniają.
Na cóż złoto, kamienie i bogate niwy?
Dajcie mi jeno „Pismo”, a będę szczęśliwy.

Zapisał Grzegorz Uzdański

JAN
KOCHANOWSKI

(1530–1584), poeta renesansowy, tłumacz, prepozyt kapituły katedralnej poznańskiej w latach 1564–1574, poeta nadworny Stefana Batorego w 1579 roku, sekretarz królewski Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, wojski sandomierski w latach 1579–1584.

GRZEGORZ
UZDAŃSKI

(ur. 1979), autor powieści: *Wakacje* (nominacja do Nagrody Conrada), *Zaraz będzie po wszystkim* (2019), *Wypiór* (2021, nominacja do Paszportów Polityki) i strony *Nowe wiersze sławnych poetów* (wydana w formie książki w 2021). Występuje w grupie Klancyk i Resorcie Komedii. Stały współpracownik kwartalnika „Przekrój”.

W KADRZE

Prawda czy fałsz

zdjęcie JONAS BENDIKSEN | MAGNUM | 2019



EUROPEAN
IMAGES

Miasto Veles w Północnej Macedonii, które zasłynęło podczas amerykańskich wyborów prezydenckich w 2016 roku. Wyszło wtedy na jaw, że grupa miejscowych nastolatków stała za masową produkcją wspierających Donalda Trumpa *fake newsów*, udostępnianych następnie na Facebooku. Fotograf Jonas Bendiksen zrobił wiele ujęć miasta do swojego albumu *The Book of Veles*, po czym manipulował zdjęciami, dodając na przykład cyfrowo utworzone elementy.





Projekt EUROPEAN IMAGES realizowany przez n-ost, Kajet, Ramina Mazura i Pismo.

Sunland

tekst LAUREN GROFF

przełożyła DOBROMIŁA JANKOWSKA

—
O budził się w rozszoszczonym domu z ciemnością w oknach. Poprzedniego wieczoru ciotka Maisie spakowała już i postawiła przy drzwiach wejściowych jego bagaż, więc teraz ubrał się, nie włączając światła, wyszedł z pokoju i rzucił piżamę na wierzch walizki. Ciotka była w kuchni, postukiwała garnkami.

Buddy, powiedziała na jego widok, siadaj tu i coś zjedz. Miała śmieszne oczy, całe czerwone i opuchnięte, nie lubił, kiedy tak wyglądały. Usiadł, wtedy ciotka podeszła od tyłu i przytuliła jego głowę tak mocno, że zabolalo, a jej dłonie pachniały mydłem i papierosami, i tłuszcem, aż się odsunął.

Zjadł jajka, które przypominały te robione przez matkę, choć bułeczka nie przypominała tej robionej przez matkę; była za sucha i bez dżemu pomidorowego. Kiedy zjadł, ciotka zabrała i umyła jego talerz i widelec.

Nie zniosę tego, powiedziała. Nigdy nie wybaczę tej dziewczynie, dopóki żyje.

Dobrze, odparł cicho.

Nie mogę tu siedzieć i na to patrzeć, dodała. Wkładaj buty i kurtkę. Wychodzę wcześniej do pracy, żeby nie musieć patrzeć w twarz tej samolubnej, niegodziwej dziewczynie. Wzięła swoje rzeczy, szminką namalowała na ustach wąską czerwoną linię, zgarnęła z haczyka kluczyki do auta i wyszła frontowymi drzwiami. Po drodze

schyliła się, by włożyć jego piżamę do walizki i zniecierpliwiona rzuciła: Chodź na dwór, Buddy. Jestem pewna, że w tym bujanym fotelu będzie ci wystarczająco wygodnie, możesz tu zaczekać. Przyniosę ci słoik z wodą. Jak będziesz chciał sobie ulżyć, zejź z ganuku i załatw sprawę w azaliach.

Wyszedł już na zewnątrz, w ciemność, wszędzie dokoła unosił się zapach kwiatów pomarańczy. Lampę nad frontowymi drzwiami domu ciotki Maisie gęsto pokrywały termity wlatujące w strumień światła i z niego wylatujące.

Ciotka Maisie wróciła z wodą dla Buddy'ego, zamknęła frontowe drzwi na klucz i przez sekundę, gdy pochylała się ku zamkowi, w słabym świetle jej włosy wyglądały tak samo jak włosy jego matki, zapomniał więc, pomyślał, że to naprawdę matka, i niemal krzyknął z radości. Potem ciotka podniosła wzrok, spojrzała na niego i to była twarz ciotki Maisie. Radość w środku umarła i Buddy zaczął płakać.

No już, przestań mi się tu mazać, powiedziała ciotka. Bo znowu się zdenerwuję. Taki wielki facet, dwadzieścia lat, ale w głowie jesteś tylko małym, starym dzieckiem, biedaczku.

Nie, ciociu. Jestem mężczyzną, powiedział i otarł twarz.

Jako że był dużo od niej wyższy, poczekała, aż usiądzie w bujanym fotelu, pochylała

się i pocałowała go w policzek. Bądź grzeczny, Buddy, powiedziała. Co wieczór klękaj i módl się tak, jak nauczyła cię mama. I nie pakuj się w kłopoty, słyszysz mnie?

Tak, ciociu, odparł.

Będę pisać do ciebie co tydzień w niedzielę i spróbuję się tam pojawić raz na jakiś miesiąc, w zależności od funduszy. Wiesz, że ledwie wystarcza mi na jedzenie, zresztą starzeję się i ostatnio nie za dobrze się czuję. Ale już dosyć. Tak czy owak, nie zapominaj, że ktoś na tym świecie cię kocha. Zgadza się, twoja ciotka Maisie cię kocha.

Tak, ciociu, odparł.

Pogrzebała w torebce i pod rączkę walizki Buddy'ego włożyła małą kartkę. I przypilnuj, żeby twoja siostra zobaczyła ten liścik, gdy tylko się pojawi, rozumiesz? Uśmiechnęła się, ale to właściwie nie był uśmiech.

Tak, ciociu, odparł, i zaczął kołysać się w fotelu, a ciotka zeszła po schodkach do samochodu, którego światła przez minutę świeciły zbyt jaskrawo, potem wycofała wóz na ulicę i zniknęła.

Kiedy Buddy się kołysał, nie odczuwał tak bardzo zimna. Uspokajały go kwiaty pomarańczy kryjące się w ciemności, złoty deszcz termitów, dochodzące skądś nawoływanie nocnego ptaka, równy rytm kołysania. Miło było obserwować, jak niebo zaczyna blednąć na krawędzi, potem z tej bladej linii z wolna



wyływa róż, który rozpełza się dalej i dalej, aż w świetle nowego dnia zaczynają pojawiać się wyraźne kontury gajów pomarańczowych. Później słońce weszło w pełni i choć Buddy wiedział, że nie wolno na nie patrzeć zbyt długo, robił to przez chwilę, a gdy potem zamknął oczy, dalej lśniło pod powiekami czerwonym echem. Mgła zaczęła podnosić się już z ziemi pod drzewami i jakieś zwierzę z długim ogonem, którego nazwy nie znał, lśniące i zaciekle, węsząc, powoli szło przez podwórze.

A potem nagle w porannym świetle tuż przed nim stała Joanie, trzymając w dłoni walizkę; na głowie miała mały słomkowy kapełusz z żółtą opaską. Podeszła tak, że jej nie widział i nie słyszał. Miała trochę niezadowoloną minę. Cześć, Bud, powiedziała. Ciotki Maisie nie ma? Zostawiła cię tu samiusieńkiego? Podbródkiem wskazała na dom i Buddy odwrócił się, by spojrzeć, ale nikogo tam nie było. Potem Joanie zobaczyła kartkę pod rączką walizki, wyjęła ją, przeczytała i krótko się zaśmiała. Zwinęła liścik w kulkę i rzuciła ją na zmęczoną gumową wycieraczkę.

Skoro wszystko wie najlepiej, może sama powinna cię zatrzymać, powiedziała Joanie. Stara jędzowata nietoperzyca. Wyjęła z torebki białą chusteczkę, splunęła na jej róg i potarła twarz brata w miejscu, gdzie wciąż tkwił ślad pocałunku ciotki Maisie. Dasz radę kawałek iść? zapytała.

Tak, Joanie, odparł, wstał i zachichotał, kiedy bujany fotel bujał się dalej bez niego.

W jedną rękę wzięła swoją, w drugą jego walizkę, i poprowadziła brata ścieżką do miękkiej, pokrytej pyłem gruntowej drogi. Szli nią długo, po jednej stronie mając dęby lirolistne i palmy karłowate, po drugiej wielką plantację drzewek pomarańczowych. Było na tyle wcześnie, że wciąż mieli odrobinę cienia, którego się trzymali. Joanie chyba o czymś myślała i nic nie mówiła, nie przeszkadzało mu to, bo lubił obserwować, jak dwa siostrzane warkocze wiją się w tę i z powrotem na jej plecach, kiedy tak szła.

Doszli do rozgałęzienia dróg niedaleko łowiska. Joanie z westchnieniem postawiła walizki na ziemi i rozprostowała palce. W takim tempie, powiedziała, nie zdążymy na autobus w południe. Potem spojrzała na stojącego obok Buddy'ego i dodała: Hej, słuchaj, wiesz, co mi się zdaje? Jesteś przecież silny, prawda?

Bardzo silny, odparł i podniósł walizki, jakby nic nie ważyły.

Szli dalej, przez miejsca nasłonecznione i zacienione, i dotarli już prawie na skrzyżowanie dróg, kiedy zza ich pleców dobiegł jakiś dźwięk, i w wielkiej chmurze kurzu pędem minął ich pikap. Wóz zatrzymał się, zapaliło się wsteczne światło i kierowca zaczął cofać. Joanie przekleła pod nosem i przyziliła włosy, ale uśmiechnęła się, gdy otworzyło się okno. Za kierownicą siedział mężczyzna z czerwoną twarzą i oczami schowanymi pod daszkiem czapki. Proszę, proszę, czy to nie Joanie Greene, powiedział.

We własnej osobie, odpowiedziała. I jej duży starszy brat Buddy. Jak się pan miewa, panie Summerlin? Nie jedzie pan może do miasta? Podoba mi się ten nowy wóz.

Mogę pojechać i do miasta, odparł. Chociaż chciałem się tylko wybrać na przejażdżkę tym nowym cacuszkiem, dopiero odebrałem od diler. Pięćdziesiąty szósty, model z ubiegłego roku, więc kupiłem prawie za darmo. A w ogóle, skoro skończyłaś szkołę, możesz mówić mi po imieniu – Harmon.

Dzięki, Harmon. Zaoszczędzisz nam długiego spaceru w upale.

Wrzucaj te walizki na tył i wskakujcie tu obok mnie, kochana, powiedział. Ty i twój brat. Jak leci, Buddy? Słyszałem o tobie różne plotki, ale mama wolała trzymać cię przy sobie, co nie.

Tak, psze pana, odparł Buddy i włożył walizki na pakę samochodu.

A skoro o niej mowa, wyrazi współczucia dla was obojga, ciągnął kierowca, kiedy wsiadali, a Joanie sięgała ponad kolanami Buddy'ego, by zamknąć drzwi.

Dziękujemy, powiedziała Joanie. Nie zawsze się dogadywałyśmy, ale to i tak niełatwe, kiedy traci się matkę.

Pikap ruszył, a wiatr tak miło owiewał policzki, że Buddy zamknął oczy. Joanie opowiadała kierowcy, że matka niemal nic im nie zostawiła. Bank przejął dom, a Joanie musiała sprzedać, co się dało, zanim rzeczy wylądowałyby na ulicy. Upokarzające, dodała. Wszystkie te najlepsze przyjaciółki naszej mamy targujące się ze mną o najmniejsze z jej haftów, zegar, imbryk do herbaty. Niczym sępy. Próbowaly wycisnąć ze mnie jak najwięcej jak najniższym kosztem.

Kochana, odparł kierowca, przecież wiesz, że jeśli potrzebujesz pomocy, wystarczy tylko poprosić. Coś wymyślimy. I patrząc kątem oka na Buddy'ego, powoli położył wielką czerwoną dłoń na kolanie Joanie.

Ona zaśmiała się i nie odsunęła nogi. Miły z ciebie człowiek, Harmon, powiedziała. Ale widzisz, że mamy walizki. Zabieramy się z tej parszywej dziury.

Dokąd?

Zgadnij.

Hm, mruknął mężczyzna, spojrział na Buddy'ego i w wyrazie jego twarzy pojawiło się coś nowego. Zabierasz go do przytułku w Gainesville, powiedział. Tego miejsca dla ograniczonych umysłowo i epileptyków. Proszę, proszę. To dopiero. Wszyscy powtarzali, że wasza mama powinna była to zrobić dawno temu.

Zgadza się, przytaknęła Joanie. Napisałam do nich i dostałam odpowiedź, że trzymają dla Buda miejsce. Chociaż zaczęli nazywać to miejsce inaczej. Sunland. Brzmi przyjemniej.

Ty też tam zostaniesz? zapytał Harmon. Poszukasz pracy, zrobisz prawdziwą karierę?

E, nie, odparła Joanie, lekko się uśmiechając i dodała: Na pewno pamiętasz, jaka jestem mądra.

Najlepsza w klasie, potwierdził. Rządziłaś. Załatwiłaś wszystkich wieśniaków w okolicy.

Tak czy owak, rok temu aplikowałam do wszystkich uczelni dla dziewcząt na północy i mogłam którąś wybrać. Wzięłam tę, w której dali mi pełne stypendium, w Maine. Wtedy mama zachorowała, ale pozwolili mi przyjechać później, na drugi semestr. Przesłali bilet na pociąg, banknot studencki i jeszcze coś dodali, żebym mogła dotrzeć na miejsce i kupić podręczniki, zanim za jakiś tydzień zaczną się zajęcia.

Jezu, Maine, rzucił Harmon. To prawie jak biegun północny. Odmroziłeś tam sobie ten mały florydzki zadek, kochana.

O to właśnie chodzi, odparła. Dajcie mi igloo i tłuszcz z wieloryba. Gdybym mogła, przeniosłabym się na inną planetę.

W takim razie pogratulować, powiedział Harmon, przesunął dłoń nieco dalej po udzie Joanie i włożył kilka palców pod jej spódnice. Słyszałem o tobie co nieco, Joanie Greene. Wiem, że niektórzy tu będą bardzo za tobą tęsknić.

Odsunęła jego rękę z powrotem na kolano i odparła: Ech, Harmon, daj już spokój.

Zbliżali się do skraju miasteczka, gdzie stała stodoła, a na jej dachu gipsowy byk naturalnych rozmiarów. Buddy nachylił się podekscytowany, przyłożył palec do przedniej szyby i zawołał: Byk!

Pozostała dwójka się zaśmiała i Joanie przytaknęła: Zgadza się, Buddy, to jest byk. Ujęła potężną dłoń brata i ją ścisnęła.

Hej, słuchaj, pospiesznie zaczął kierowca, kiedy podjechali bliżej dworca. Masz trochę czasu przed odjazdem, może zostawiemy Buddy'ego na tamtej ławce i pojedziemy w jakieś ustronne miejsce na małą pogawędkę? Zafunduję ci niezapomniane pożegnania. Żebyś zapamiętała rodzinne miasto w pozytywnym świetle, kiedy już będziesz tam na północy, w Maine.

Joanie nie przestawała się uśmiechać, ale zacisnęła usta i odparła: Nie, dzięki za propozycję, nie mamy wcale tak dużo czasu.

Pikap zahamował, Joanie sięgnęła ponad nogami Buddy'ego, otworzyła drzwi i wypchnęła brata z wozu. Bierz walizki, Bud, powiedziała cicho, a potem podeszła do okna od strony kierowcy i przez chwilę coś tam szeptała. Buddy z cienia spoglądał, jak zadowolenie znika z twarzy Harmona, który zrobił się czerwony i zły, a potem wyjął portfel i podał Joanie kilka banknotów, które ona wsadziła do torebki. Mężczyzna wrzucił wsteczny i zbyt szybko odjechał, znów opluwając ich oboje chmurą kurzu.

Nigdy nie wrócę do tego gniazda węży, powiedziała, więc równie dobrze mogę trochę zarobić, paląc za sobą wszystkie mosty. Wciąż nie wierzę, że pozwalają temu staremu zbereźnikowi pracować w liceum.

Westchnęła, strzepała kurz ze spódnicy, bluzki i kapelusza, i powiedziała: No dobra, mamy jakieś pół godziny, co ty na to, żebyśmy poszli sobie na koktajl? I poprowadziła Buddy'ego do knajpki, do której matka zabierała go na lunch po niedzielnej mszy.

—
W ŚRODKU NIE BYŁO klientów, tylko stojący za ladą chłopak w papierowej czapce, który zaczerwienił się, gdy weszła Joanie. Cześć, Buddy! zawołał dziwnym, zdenerwowanym głosem. To samo, co zawsze? Burger i czekoladowy szejk słodowy?

Tak, poproszę, odparł Buddy, stawiając walizki na ziemi i siadając na wysokim stołku. Głośno zaburczało mu w żołądku.

Hej, Joanie, powiedział chłopak, mrugając w jej stronę. Dawno cię nie widziałem. Wszystko dobrze? Dobrze wyglądasz.

Cóż, zostałam sierotą. Więc raczej nie za dobrze, odparła chłodno.

O rany. Do diaska, rzucił chłopak i jego rumieniec zrobił się niemal fioletowy. Wyrazy współczucia, Joanie. Nie wiedziałem. Zastanawiałem się, dlaczego wasza mama od jakiegoś miesiąca nie przyprowadza tu Buddy'ego. Ale ze mnie baran, rany. Słuchaj, wynagrodzę wam to. Zafunduję wam lunch. Ja stawiam.



To znaczy stawia pan Katz, właściciel tego miejsca, ale on nigdy się nie dowie. Chłopak mrugnął, odwrócił się i zaczął majstrować przy grillu, co jakiś czas potrząsając głową i sarkając pod nosem na własną głupotę.

Joanie uśmiechnęła się do siebie, ale za każdym razem, gdy chłopak na nią zerkał, robiła na powrót smutną minę.

Buddy przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze za butelkami syropów. Podobały mu się ciemne włosy i ciemne oczy, ale nie kurz, który miał we włosach. Wciąż nie mógł się nadziwić, że obok w lustrze widzi Joanie, uważnie otrzepującą kurz z ubrania i włosów, wycierającą twarz papierową chusteczką – a nie matkę. Za każdym razem to zdziwienie zmieniało się w ból.

Chłopak w papierowej czapce podał im dwa koktajle, dwa burgery i dwie porcje frytek, a potem cały czas stał tuż obok, gdy jedli. Buddy był tak głodny, że ledwie przeżuwał, Joanie zaś jadła delikatnie, ocierając serwetką kąciuki ust po każdym kęsie. Gdy brat skończył swoje danie, spojrzła na porcję siostry tak intensywnie, że popchnęła ją w jego stronę.

Niedobre? nerwowo zapytał chłopak. Nie smakowało ci, Joanie?

Nic się nie martw, odparła, było pyszne. Po prostu ostatnio niewiele jadam i wystarczy mi kilka kęsów.

Miło słyszeć, że ci smakowało, powiedział chłopak i w tym momencie zadzwieczyły dzwonki nad drzwiami, a do środka ramię w ramię weszła para starszych ludzi, która usiadła przy barze. Chłopak przewrócił oczami i podszedł z małym notesem, by przyjąć zamówienie.

Buddy dojadł wszystko. Joanie wytarła mu buzię i ręce. Ześlizgnęła się ze stołka i poszukała w torebce ćwierćdolarówki. Potem zmieniła zdanie, zabrała monetę i zamiast niej położyła na ladzie dziesięciocentówkę.

Chodźmy, zwróciła się do Buddy'ego.

Zdążyli ująć ledwie kilka kroków, kiedy chłopak przybiegł do miejsca, w którym siedzieli i zapytał: Joanie, hej, Joanie, zaczekaj chwilę, chciałabyś może wyjść gdzieś ze mną któregoś dnia? Mogę pożyczyć wóz od brata. Przejedziemy się, może coś zjemy, może. Albo pójdziemy na kręgle, ryby czy coś.

Joanie odwróciła się, szeroko uśmiechając, i odparła: O, bardzo bym chciała, chętnie. Może zadzwonisz do domu mojej ciotki Maisie i się umówimy? Ona nie lubi, kiedy wychodzę z chłopcami, więc będzie próbowała ci wmówić, że tam nie mieszkam, ale nie słuchaj jej, tylko dzwoń dalej i któregoś dnia odbiorę ja, nie ona.

O, to świetnie, Joanie, odparł chłopak, tak zrobię. Będę po prostu do ciebie dzwonił.

Tak zrób, rzuciła, i razem z Buddym wyszli na zewnątrz. Joanie zaśmiała się, kiedy przekraczali ulicę. O rany, powiedziała, ależ Maisie się wścieknie.

Tak, potwierdził Buddy i się zaśmiał, nie dlatego, że coś zrozumiał, ale dlatego, że siostra się zaśmiała i ten dźwięk go uszczęśliwiał.

Wkrótce jednak zauważył, że coś jest nie tak, zatrzymał się i odstawił walizkę. Dom jest tam, powiedział powoli, pokazując w dół ulicy pełnej przykurzonych magnolii. Kościół tam, dodał, pokazując duży ceglany budynek na rogu.

Joanie osłoniła oczy, spojrzęła na brata i delikatnie odparła: Nie idziemy do kościoła ani do domu, Bud. Wsiadamy w autobus do Gainesville.

Aha, rzucił. Nie znam tego miejsca.

Ja również nie, powiedziała. To znaczy mieszkaliśmy tam, kiedy byliśmy bardzo mali, ale kiedy tata zostawił mamę tak nagle, bardzo znieubiła tamto miasto i sprowadziła nas do tej głupiej parszywej dziury.

Chcę do mamy, powiedział Buddy i się rozplakał.

Nie, Buddy, nie teraz, odparła, bez takich rzeczy. Duży dorosły chłopak nie może marzyć się na ulicy. Jakbyśmy nie mieli wystarczająco ciężko. Wsadziła mu walizkę w dłoń, ujęła go za drugą rękę i pociągnęła przez parking do miejsca, w którym już huczał silnik autobusu, a ludzie zaczęli powoli wsiadać.

—
W POJEŹDZIE BYŁO potwornie gorąco i musieli iść aż do połowy, by znaleźć wolne miejsce, Joanie jednak powiedziała, że gdy ruszą i wiatr wpadnie przez otwarte okna, zrobi się chłodniej. Walizki położyła im na kolanach, bo nie można ufać ludziom jeżdżącym autobusami. Wszyscy ludzie, którym można ufać, mają już własne samochody i nie muszą się upadlać w autobusach. Któregoś dnia, dodała rozmarzona, kupię sobie piękny, wielki samochód z perłowym lakierem i ze skórzanymi siedzeniami tak miękkimi, jakby jechało się w chłodnym białym łóżku.

Ale Buddy nie słuchał, ponieważ wśród pasażerów wsiadających do autobusu zobaczył kobietę z wielką szopą rudych włosów pod bardzo małym kapeluszem. W jednej ręce trzymała niebieską walizkę, w drugiej – złotą klatkę z dwiema czubatymi papuzkami-nimfami. Potężna kobieta z sapnięciem zatrzymała się na moment przy siedzeniu naprzeciwko miejsc Buddy'ego i Joanie, a potem rozważyła możliwości, westchnęła, postawiła klatkę obok okna i usiadła.

Pojawił się kierowca, by pobrać od pasażerów ćwierćdolarówki. Joanie przekleła pod nosem, ale otworzyła małą torebkę i wyrzebała z niej drobne. Wydoją mnie do reszty, powiedziała do Buddy'ego. Chyba nic nie złamię, póki nie dotrę do Maine.

Kobieta siedząca naprzeciwko usłyszała ją i zapytała: Maine? Wy dwoje uciekacie do Maine? Wsiadłam do autobusu i na wasz widok pomyślałam: tylko spójrz na tego uroczego chłopca i tę śliczną dziewczynę, na pewno się kochają i chcą uciec, jakież to

romantyczne. I mówię do siebie, Ado Severin, siadaj od razu tam obok nich i dowiedz się wszystkiego, może znasz ich rodzinę, ale im bliżej do was podchodziłam, tym lepiej widziałam, że nie, to nie są zakochani, ale skąd, może to brat i siostra, widzę podobieństwo w okolicy oczu, a kiedy tu już podeszłam, to zauważyłam, że z tym miłym chłopcem coś jest nie tak, może nie do końca wszystko w porządku z jego głową.

Niech pani tak nie mówi. Z jego głową wszystko jest w porządku, ostro rzuciła Joanie. To naprawdę słodki dzieciak. Po prostu działa nieco wolniej niż większość ludzi.

Tak czy owak, oznajmiła kobieta, śmiejąc się donośnie, rzadko kiedy się myślę. Dobry Pan Jezus dał mi zdolność dostrzegania szczegółów. Zawsze ją chyba miałam, ale wyostrzyła się, kiedy zaczęłam czytać w bibliotece książki o Sherlocku Holmesie. Trzeba po prostu bardzo dokładnie przyglądać się człowiekowi, dostrzegać różne drobniaczki i potem złożyć je w całość. Na przykład nasz kierowca ma na rękach głębokie blizny, widziałaś? Założę się, że przez długi czas naciął drzewa, zbierając żywicę w lasach sosnowych. Ale lekko utyka, więc dam głowę, że przydarzył mu się jakiś wypadek i dlatego musiał zostać kierowcą autobusu.

Może tak, odparła Joanie. Może nie.

Spójrz, ciągnęła pasażerka podekscytowanym głosem, wraca tutaj. Sprawdźmy, czy się nie myślę. Zwróciła się do kierowcy: Bardzo przepraszam, ale toczymy tu małą dyskusję na temat tego, czy dawno temu pracował pan w lasach, zbierając żywicę na terpentynę.

Kierowca zatrzymał się między siedzeniami i przez długą chwilę wpatrywał się w twarz kobiety. W końcu z powagą odparł: My się chyba nie znamy, proszę pani. I poszedł dalej, do swojego miejsca z przodu.

Widzisz? piała pasażerka. Mówiłam.

Ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, stwierdziła Joanie. Raczej zauważył, że powinna pani pilnować własnego nosa.

Ależ nie, moja droga. Widziałam na jego twarzy absolutne potwierdzenie, ciągnęła

kobieta. A tak w ogóle, pachnie tu, jakby ktoś w pobliżu niedawno jadł cebulę. Pan obdarzył mnie potężnym węchem, potrafię rozpoznać niemal każdy zapach, a nie ma nic gorszego niż cztery godziny jazdy autobusem z kimś, kto niedawno jadł cebulę. Otworzyła małą torebkę, wyjęła z niej puszkę, zdjęła wieczko i czubkiem palca delikatnie odsunęła bibułkę, odsłaniając niewielkie blade pastylki. Fiołkowego cukierka? zaproponowała.

A ponieważ i Joanie, i Buddy zjedli niedawno cebulę w burgerach, wzięli teraz po jednej pastylce.

Smakuje, jakbym lizała tynk, skrzywiła się Joanie.

Nie ma za co, odparła pasażerka. Chwilę mi to zajęło, ale w końcu poukładałam sobie spostrzeżenia na twój temat.

Czyżby? spytała Joanie.

Tak, widzę, że zamierzasz porzucić swojego brata w przytułku w Gainesville, a potem pojechać do Maine, bo masz tam jakąś pracę. Kobieta, mrużąc oczy, spojrzała na buty Joanie, jej dłonie, włosy, słomkowy kapelusz, i dodała: Nie wiem, jaką. Sprzedawczyni. Nie, nie, już mam. Towarzyszki jakiejś damy.

Joanie walczyła ze sobą, ale w końcu odparła z uśmiechem, który próbowała przełknąć: Prawie. College dla dziewcząt.

Studentka. Cóż, niech mnie, powiedziała pasażerka. Ja też błagałam wiele razy, by pozwolono mi pójść do college'u, ale tatko odmawiał, nie pozwalał nawet na chrześcijańską uczelnię, nawet na kursy zarządzania domem. Ado, skarbie, żadna liczba książek nie sprawi, że kobieta będzie lepszą gospodynią, zawsze mi to powtarzał. Ale to oczywiście były inne czasy, przed pierwszą wojną, zanim kobiety dostały choćby prawa wyborcze, a potem zaczęły się wymądrzać i domagać różnych rzeczy. Cóż, szczerze mówiąc, bardzo zazdroszczę ci, że idziesz do college'u. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o starych książkach, filozofach i tak dalej. Choć twierdzą, i to od zawsze, że miejsce kobiety jest w domu. Wypowiedziała te słowa z taką gwałtownością, że zadrżały jej podbródki.

Jeden z ptaszków w klatce spał, drugi nadymał się i stroszył piórka. Przystał, kiedy zobaczył, że Buddy się na niego gapi, i zawołał: Czerwona Zaraza!

Pasażerka się zaśmiała. Za każdym razem mnie bawi, gdy to mówi, powiedziała. Sama go nauczyłam. Tak kiedyś nazywali mnie wszyscy chłopcy, nie dlatego, że jestem komunistką, Boże broń, tylko przez kolor włosów. Pulchną dłonią poprawiła fryzurę i powtórzyła: Czerwona Zaraza. Wiem, że tego nie dostrzegasz, ale kiedyś byłam równie ładna co ty, moja panno.

Skoro pani tak twierdzi, odparła Joanie. Autobus ruszył powoli przez długie żółte popołudnie, a wpadające przez okna powietrze przyniosło im wielką ulgę.

W każdym razie, ciągnęła kobieta, panno studentko, sprawdźmy, czy jesteś równie spostrzegawcza jak ja. Założę się, że jeśli na mnie spojrzysz, nie uda ci się odgadnąć mojej historii, tak jak ja opowiedziałam twoją i naszego kierowcy.

No dobrze, odparła Joanie, zrobiła bardzo poważną minę i zmierzyła kobietę wzrokiem tak powoli i uważnie, że niemal dostała zęza. W końcu upiornym głosem zaczęła opowiadać: Uczy pani w Gainesville gry na pianinie. Co roku przyjeżdża tu pani na tydzień w odwiedziny do siostry, ale nie może zostawić papużek, ponieważ jest pani starą panną i mieszka całkiem sama w niewielkim mieszkaniu. Z siostrą w ogóle się nie dogadujecie z powodu dawnych zaszłości. Ona w głębi duszy dalej jest bardzo zła, że wasz tatko po śmierci zostawił pani dom w mieście, a ona dostała tylko trochę marnej ziemi w tych okolicach. Cały tydzień spędzacie, kładąc pasjansa w różnych pokojach i kłócąc się o to, co chcecie zjeść na kolację.

Kobieta gapiła się na Joanie, nerwowo mrugając. W końcu powiedziała: Na miłość boską. Jestem wdową, nie starą panną, ale oprócz tego trafiłaś. Masz dar, tak jak ja.

Joanie zaśmiała się i odparła: Ależ skąd. Moja mama sprzątała kiedyś dom sąsiada pani siostry, starego pana Hubbarda. Siostra na wiele tygodni przed pani przyjazdem skarżyła się z powodu tych wizyt.

To dopiero nieuczciwa sztuczka! zawołała kobieta, rumieniąc się. Bardzo nie po chrześcijańsku. Ale też nie wiem, czego miałabym się spodziewać po dziewczynie,

która wyrzuca własnego brata, jakby był śmieciem.

Potem oburzona odwróciła się w stronę kierowcy i oznajmiła głośno, by wszyscy słyszeli: Przyjaciel kocha w każdym czasie, a bratem się staje w nieszczęściu. Księga Przysłów.

Proszę pani, mam siedemnaście lat, ze złością przypomniwała Joanie. Jak, do diaska, mam zajmować się takim wielkim chłopem, zachowującym się jak słodkie małe dziecko? Zresztą chciałam tylko zażartować, dodała uroczym głosem, ale pasażerka odwróciła się w stronę swoich papużek i okna, za którym mknęła Floryda.

Joanie oparła twarz o ramię Buddy'ego i próbowała zdusić śmiech. Wkrótce jednak zostawiła tam po prostu głowę, powoli zamknęła oczy i zasnęła.



Po jakimś czasie właścicielka papużek wyjęła z torebki obrane jajko na twardo, ostrożnie rozwinęła bibułkę z solą i pieprzem i zanurzała w niej każdy kawałek białka. Buddy'emu podobało się, jak kobieta je jajko maleńkimi, szybkimi kęsami, zostawiając na koniec złoty środek, który obtoczyła w resztkach przypraw i trzymała w ustach, póki się nie rozpuścił. Potem i ona zasnęła, a odgłos jej chrapania z głębi nosa unosił się i opadał w powietrzu autobusu.

Buddy'emu podobało się teraz wszystko w autobusie: głowa siostry na jego ramieniu i zapach jej włosów; to, że na wybojach ciało kobiety z papużkami całe się trzęsło; ptaki kołyszące się w klatce na swoich dziwnych ostrych łapkach, kiwające się ładne czubki i zmrużone w szparki oczy. Kiedy wzrok Buddy'ego tracił ostrość, widziane przez okno desperacko wygięte cyprysy ze stopami zanurzonymi w wodzie stawały się smugą szarości i lśniącego brązu, a palmy

wyplatały zielony ścieg. Zatrzymywali się w każdym małym mieście po drodze, ale kiedy autobus na nowo nabierał prędkości, wszystko lśniło na złoto i zielono, i brązowo, i niebiesko, raz za razem, aż słońce zaczęło się obniżać, a na rękach Buddy'ego powoli rozlało się gorące żółte światło późnego popołudnia.

Właśnie wtedy coś przykuło uwagę Buddy'ego. Czy raczej był to brak czegoś: chrapanie pasażerki naprzeciwko ucichło i w autobusie zapadła dziwna cisza. Buddy odwrócił głowę, by spojrzeć na właścicielkę papużek. Miała poważną minę i wychylała się w stronę przejścia. Zobaczył, że pochyla się nad torebką jego siostry – choć pasek dalej był przewieszony przez ramię Joanie, sama torebka zsunęła się z jej kolan w odstęp między siedzeniami. Zobaczył, jak kobieta wkłada rękę do środka. Powoli wyjęła zwitek banknotów i trzymając go w dłoni, uśmiechnęła się. Potem jednak uniosła wzrok i zobaczyła, że Buddy ją obserwuje. Zarumieniła się, zaczęła szybko mrugać i oblizywać usta, wyjęła jeden banknot ze zwitka, resztę zaś wepchnęła z powrotem do torebki, zatrzaszkując zapięcie zwinnymi palcami.

To taki żart, szeptnęła. Tylko się wygłupiam, to nic złego, powiedziała, i wsadziła zabrany banknot za dekolot bluzki. Położyła palec na ustach i dodała „ćśśś”.

Joanie, odezwał się Buddy, potrząsając siostrą.

Bądź cicho, nie budź jej, zaprotestowała kobieta. Biedaczka wygląda na bardzo zmęczoną, powinna odpocząć. Wyjęła wciśniętą między swoje siedzenie i klatkę papierową torebkę z jedzeniem i próbowała ją wręczyć Buddy'emu. Mam tutaj pyszne kanapki z szynką, zachęcała. Ja nawet nie lubię szynki, ale siostra kazała mi je wziąć. Są też ciasteczka z orzechami pekan. Lubisz ciasteczka? Wszyscy je lubią.

Joanie, powtórzył, ale zapach szynki dochodzący z torebki, którą kobieta położyła mu na kolanach, zdążył go rozproszyc.

A zresztą, powiedziała właścicielka papużek, i tak nie będzie go jej brakowało. Taka ładna dziewczyna zawsze znajdzie sposób, żeby zarobić. Uśmiechnęła się, miała szminek na wszystkich dużych przednich zębach.

Hej, Joanie, odezwał się Buddy z mniejszym już przekonaniem, ale siostra spała

mocno i dopiero po chwili udało się ją obudzić; autobus zwalniał, skręcał, i kiedy Joanie w końcu otworzyła oczy i otarła usta, zatrzymali się na dworcu i Buddy zapomniał, co chciał jej powiedzieć.

Zanim pojazd zahamował, kobieta od pazupek zdążyła już wstać i przepychała się teraz między siedzeniami, niosąc klatkę i walizkę, by wysiąść w pierwszej kolejności, nawet przed pasażerami siedzącymi z przodu.

Powiem ci coś, odezwała się Joanie, przyczesując ręką włosy, które zmierzwił wpadający przez okna wiatr, i spoglądając na kobietę, która stała przy drzwiach autobusu, zajmując mnóstwo miejsca. Takich wścibskich ludzi jak ta baba z pewnością nie będzie mi brakowało w Maine. Z tego, co słyszałam, Jankesi zajmują się własnymi sprawami, tak jak powinni.

Wysiedli z autobusu w długie cienie popołudnia, między wysokie spiczaste palmy i grube dęby obrośnięte wiszącym mchem. Po kolei skorzystali z toalety na dworcu. Kiedy Buddy czekał na dworze z bagażami, a Joanie była w łazience, rozległ się stamtąd potworny krzyk i siostra wybiegła, nie myjąc nawet rąk. Zniknęła, powiedziała. Zniknęła. Szukałam w torebce grzebień i zobaczyłam, że zniknął mój banknot studencki. Teraz już nigdy nie kupię sobie podręczników. Usiadła na walizce i cicho krzyczała, chowając twarz w dłoniach. Buddy usiadł obok na swojej walizce, objął Joanie i zaczął płakać, ponieważ tak bardzo tęsknił za matką.

Na stacji było wiele osób, ale nikt ich nie zaczepił. W końcu Joanie przestała krzyczeć we własne dłonie, wstała i znów poszła do toalety obmyć twarz, a kiedy wróciła, wydawała się jakby mniejsza. Miała podpuchnięte oczy, ale już się uspokoiła.

Co to jest? zapytała, pokazując papierową torbę na kolanach brata.

Pani od ptaków mi dała.

Joanie otworzyła torebkę i gwizdnęła. Tego jedzenia wystarczy na tydzień. Spojrzała na Buddy'ego. Tam, gdzie jedziesz, będą cię karmić. Trzy posiłki dziennie, tak mówili. Mogę to zabrać, Bud? Będę miała co jeść aż do chwili, gdy dotrę tam, dokąd jadę. I nie czekała, co odpowie, tylko wsadziła prowiant do swojej walizki.

Tam jest szynka, powiedział smutno, czując pustkę w żołądku. I ciasteczka.

Musimy przejść jakąś milę. Masz jeszcze siłę, Buddy? zapytała.

Dużo siły, odparł, podniósł obie walizki i wyruszył, idąc za siostrą przez późne popołudnie.

— BUDDY'EMU podobała się okolica, przez którą szli, duże drewniane domy z gankami, spacerowicze wyprowadzający psy. Byli tu też młodzi ludzie, w parach i trójkach, a kiedy Joanie na nich patrzyła, to coś, co umarło w jej twarzy na dworcu, na powrót ożyło. To na pewno studenci z uniwersytetu, mruknęła. Pewnie wyszli na dwór, ponieważ ich mózgi są tak zapchane symfoniami, historią i klasyczną greką, że musieli to wszystko wychodzić, by w nocy zasnąć. Uśmiechnęła się do Buddy'ego i powiedziała łagodnie: W pewnym sensie ty chyba również idziesz na swego rodzaju uniwersytet.

Było jeszcze jasno, kiedy przekroczyli szeroką drogę i zobaczyli tablicę. Nazwę zmieniono tak niedawno, że po lewej dalej wisiał ten przeklęty stary szyld z napisem „Florydzki Przytułek dla Dzieci Epileptycznych i Ograniczonych Umysłowo”, a po prawej powieszono świeżo malowany napis „Sunland”.

Sunland, powiedziała Joanie, zgadza się, tak go teraz nazywają. Ładna nazwa, Buddy. Sunland, kraina słońca.

To tam jest mama, Joanie? zapytał Buddy, a siostra spojrzała na niego i zaczęła drzeć na całym ciele. Nie, skarbie, odparła. Mamy tam nie ma.

Potem szybko i cicho powiedziała do siebie: Mój Boże, co ja wyrabiam? Co ja wyrabiam? Mama zawsze powtarzała, że ma mnie po to, bym się tobą zaopiekowała, jeśli coś jej się stanie, i spójrz, co wyrabiam.

Ale Buddy skreślił zdecydowanie w stronę ośrodka i szedł teraz szybko pod górę w stronę bramy, przy której w budce, przy włączonym małym tranzystorowym radiu, przysypiał strażnik. Buddy, poczekaj, zawołała za nim Joanie.

Ty pewnie jesteś Robert, chłopcze, zgadza się? zapytał strażnik. Już zaczynałem się o ciebie martwić. Mówili, że dziś przyjedziesz, ale zaraz muszę zamykać bramę. No i proszę, jesteś.

Jestem, powiedział Buddy. Jestem Buddy. Jeszcze piętnaście minut i musielibyście

szukać na dzisiaj noclegu i wrócić rano, zwrócił się strażnik do Joanie.

Przepraszam, proszę pana, odparła. Była cała błada, włącznie z sinymi ustami.

Mężczyzna powiedział coś do krótkofalówki, z której powrócił skrzeczący dźwięk.

Przez bramę widzieli proste linie sawcowców i oleandrów oraz światła w oknach ogromnych, prostych, białych drewnianych budynków stojących wśród przerzedzonej trawy. Buddy złapał się bramy i aż do bólu przycisnął twarz do metalowych prętów, by lepiej widzieć. Drzwi w jednym z najbliższych budynków otworzyły się, wyszły z nich trzy postacie w bieli i zaczęły schodzić po schodach, oświetlone od tyłu ciepłym światłem padającym ze środka, które malowało na złoto trawę i otaczające budynek drzewa.

Och, sapnął Buddy, bo ten widok wydał mu się piękny.

Bud, posłuchaj, powiedziała szybko stojąca tuż obok Joanie. Wróć po ciebie. Zdobędę wykształcenie, potem znajdę pracę, i gdy tylko będę miała dość pieniędzy, by utrzymać nas oboje, wróć po ciebie. Wybacz mi, Boże.

Ale Buddy nie słuchał. Obserwował trzy przysadziste kobiety w bieli nadchodzące ścieżką. Z tej odległości nie widział ich twarzy. Każda mogła być jego mamą. Wczesny księżyc wisiał w błękicie kończącego się dnia, w oddali jakiś kot zgrabnie przebiegł przez trawnik, a Joanie, pachnąca potem, cebulą i sobą, stanęła na palcach i pocałowała brata w policzek. Wieczorna bryza uniosła się znad pól, niosąc ciepły zapach krów oraz ziemi, i dotknęła twarzy Buddy'ego, jego rąk i karku, i w tym zapachu było też coś dzikiego, coś z mokrej, tętniącej życiem, oddalonej o kilka mil prerii, z jej mrocznych, okropnych potworów żyjących pod wodą, delikatnych, anielskich ptaków na długich, chudych nogach na powierzchni. W tym momencie coś, co nieustająco gdzieś w nim śpiewało, a czego nikt inny nie słyszał, zaśpiewało głęśniej, śpiewało, dopóki kobiety nie zbliżyły się tak bardzo, że zobaczył ich twarze. A potem Joanie, na którą popatrzył, próbując zrozumieć, odwróciła od niego twarz i zaczęła odchodzić, szybko, nie spoglądając za siebie.

Opowiadanie *Sunland* ukazało się pierwotnie w magazynie „The New Yorker”.
To *Sunland* © 2022 by Lauren Groff.

U
CIE
KŁA

MI

PRZE
PIÓ
RECZ
KA



na podstawie sztuki
Stefana Żeromskiego

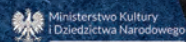
opracowanie dramatu
wg koncepcji
Krystyny Duniec
i Pawła Sablika

reżyseria
Michał Kotański



TEATR
ŻEROMSKIEGO
W KIELCACH

www.teatrzeromskiego.pl



Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach
jest dofinansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Województwa Świętokrzyskiego
współfinansowany przez
Mięsto Kultury i Dziedzictwa Historycznego

plakat: Patryk Hiedziąg

Wyschnięty jak Chile

tekst ARTUR DOMOSŁAWSKI

JEDNO DRZEWO AWOKADO zużywa dziennie więcej wody niż Chilijczyk żyjący w regionie dotkniętym suszą. Zmiany klimatyczne wraz z neoliberalnym modelem rozwoju gospodarczego stopniowo wykańczają kraj, który za czasów dyktatury Pinocheta sprywatyzował dosłownie wszystko. Także wodę.

W kwietniu zeszłego roku w centrum Santiago de Chile byłem świadkiem demonstracji przed dawnym budynkiem senatu, w którym obradowało Zgromadzenie Konstytucyjne. Protestującym chodziło o wodę. Przed prowizoryczną sceną ustawiono transparenty: „Bez wody nie ma żywności”, „Woda jest naszym pokarmem” i „Brońmy wody w naszych wsiach”.

Ze sceny wodzirej w białej koszuli i tradycyjnym słomianym *sombrero* prowadzi wiec. Przed sceną kilkaset osób, część z nich w kapeluszach jak on – od razu jasne, że to przyjeźdźni z regionów wiejskich. Wodzirej rzuca hasła, zebrani je podchwytingają. Hasła sugerują, że demonstranci bronią swojego podstawowego prawa – dostępu do wody – które ktoś chciałby im odebrać. Po dłuższej chwili ktoś zaczyna mi zgrzytać. Między hasłami o prawie do wody padają inne, które brzmią o tych okolicznościach osobliwie: „Państwo

chce nam odebrać prawo do wody! Nie pozwólmy na to!” albo „Nie chcemy komunizmu jak na Kubie!”.

Chile jak mało który kraj od dekad hołduje antykomunizmowi. Tutejszy ład społeczno-ekonomiczny to twór generała Augusta Pinocheta, który doszedł do władzy w drodze zamachu stanu w 1973 roku i rządził przez kolejne siedemnaście lat. Pinochet obalił socjalistyczny rząd Salvadora Allendego, który próbował przeprowadzić pokojową rewolucję, reformując oświatę, opiekę zdrowotną, system podatkowy i prawo wyborcze w duchu egalitaryzmu. Pieczę nad gospodarką dyktator powierzył tak zwanym Chicago Boys – uczniom Milтона Friedmana, którzy wierzyli w potęgę wolnego rynku i swobodną przedsiębiorczość oraz uważali, że działania państwa w gospodarce to źródło wszelkich nieszczęść (chyba że chodziło o długi prywatnych banków – wówczas państwo ratujące je

przed upadkiem przeobrażało się w niezrównanego dobrodzieja). Tak oto Chile stało się kolebką konserwatywnej rewolucji lat 80. i 90., której dokonano tu w cieniu karabinów, zanim podobną, już bez broni palnej, przeprowadzono w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych.

Któż zatem w tym laboratorium neoliberalizmu czuje się zagrożony komunizmem? Kim są ci ludzie?

Odciągam na bok mężczyznę, około czterdziestki, który był przez chwilę na scenie – wygląda na zorientowanego i chętnie godzi się na rozmowę. Nazywa się Gonzalo Castillo i jest adwokatem, a także członkiem nowo powstałej Partii Republikańskiej (bingo!). Chilijscy republikanie sytuują się na prawo od najtwardszej postpinochetowskiej prawicy. Kochają Donalda Trumpa, Jaira Bolsonaro, Marine Le Pen i Viktora Orbána, a w ostatnich wyborach, w 2021 roku, ich kandydatem był José Antonio Kast (który choć wygrał w pierwszej turze, poniósł porażkę w drugiej). Kast chełpił się, że gdyby Pinochet żył, na pewno głosowałby na niego.

Mecenas Castillo tłumaczy mi, że obecnie w Chile rolnicy dostają stałe koncesje na użytkowanie wody, a lewica, która wygrała wybory prezydenckie i zdominowała Zgromadzenie Konstytucyjne, chce im odebrać prawo do wody. – Teraz, kiedy doświadczamy zmian



klimatycznych, które w Chile objawiają się horrendalną suszą – ciągnie Castillo – sprawa staje się sto razy bardziej dramatyczna.

Gdyby poprzestać na wyjaśnieniach mecenasa i nie drażyć tematu, można by dojść do wniosku, że w Chile bezduszny rząd idzie na wojnę z tymi, którzy żywią kraj, odbiera im najbardziej podstawowe prawo – prawo do wody – a bezduszność to szczególnie paskudna, bo na dodatek mamy czas suszy. Już sam język, samo nazewnictwo domagają się jednak wzięcia pod lupę.

Mecenas Castillo mówi o „rolnikach”, a ma na myśli – jak wkrótce zdają sobie sprawę – wielki agrobiznes. Odbieranie praw rolnikom, czyli gwałt i niesprawiedliwość, brzmi lepiej niż na przykład poddawanie rewizji przywilejów, jakimi cieszą się w Chile prywatni przedsiębiorcy zarabiający krocie na uprawach awokado czy eukaliptusów.

Na tym nie koniec. Okazuje się, że robotników rolnych, którzy pracują dla wielkich firm rolniczych, zwieziono na ten wiec autokarami. Byłem świadkiem maskarady? Jak najbardziej. Ale po kolei. Kto w Chile ma prawo do wody i co to za konflikt? Czego chce nowy rząd, a czego – wielki agrobiznes i drobni rolnicy? Co mają do tego wszystkiego susza i zmiany klimatyczne?

CHILE OD TRZYNASTU lat doświadcza suszy – najdłuższej od 1950 roku, czyli od kiedy prowadzi się pomiary. Dotknęła ona przede wszystkim środkowe regiony, które zamieszkuje jakieś 80 procent populacji kraju: Atakama, Coquimbo, Valparaíso, stolica z przyległościami, O’Higgins, Maule. Badacze klimatu mówią i piszą, że sytuacja jest „skrajnie poważna”.

Gdy nie mieszka się w Chile i wraca się tam co kilka lat, zmiany pejzażu są szokujące. Pamiętam, że w pierwszej dekadzie XXI wieku rzeka Mapocho, która dzieli stolicę kraju na pół i jest ważnym punktem orientacyjnym w mieście, miała rwący nurt, zwłaszcza po obfitych deszczach. W latach 2013 i 2014 woda już tylko leniwie – ale wciąż – sączyła się po dnie. W zeszłym roku na dnie rzeki można było stawiać zamki z piasku.

Pół roku temu hiszpański dziennik „El País” opublikował dwie fotografie

udostępnione przez program obserwacji satelitarnej Unii Europejskiej, przedstawiające jezioro Peñuelas położone niedaleko portowego miasta Valparaíso (około 120 kilometrów od Santiago). Jedna, sprzed siedmiu lat, ukazywała rozległy rezerwuuar wodny regionu pokrywający 1700 hektarów. Na drugiej, zeszłorocznej, dawne jezioro przypomina oczko wodne o powierzchni zaledwie jednego hektara, czyli 100 na 100 metrów. Nie trzeba pomiarów naukowych, wystarczą oczy, by dostrzec kryzys. I wyobrazić sobie, jaki dramat muszą przeżywać wszyscy, których ten kryzys dotyczy.

Niedostatku wody doświadcza w tej chwili blisko połowa mieszkańców Chile (8 z 19 milionów). Są regiony, w których mówi się o niedostatku właśnie, w innych – o stanie alarmowym, a w jeszcze innych – o katastrofie. To przypadek Valparaíso. Wody w jeziorze Peñuelas jest obecnie tak mało, że nie używa się jej już do gaszenia pożarów. Od dawna nie widać nigdzie powszechnych w tym regionie łabędzi czarnoszykich i koskorob [południowoamerykańskiego gatunku gęsi – przyp. red.]. Z powodu wysokiej temperatury i braku tlenu wymierają ryby. Umierają też zwierzęta hodowlane – krowy i kozy; szacuje się, że z braku wody zmarło ich w ciągu ostatnich kilku lat ponad sto tysięcy, a kilkaset tysięcy dotknęły rozmaite choroby. Dzikie zwierzęta migrują.

W wioskach i całych rejonach wiejskich objętych największą suszą ludzie zostawiają swoje domostwa – w Cabildo, Alicahue, Putaendo, Santa Maria, Calle Larga – i szukają nowych miejsc zdalnych do osiedlenia się. Gdzie? Gdzieś, gdzie da się żyć. Gdzieś, gdzie jest woda.

Czy tak się zaczyna apokalipsa klimatyczna?

WIELKIE SUSZE w Chile zdarzały się wcześniej. Jedna około tysiąca lat temu. Kolejna – w drugiej połowie XVII wieku, kiedy Hiszpanie zastanawiali się nad całkowitym wycofaniem się z tamtejszych terenów, na których prawie nie padał deszcz. Od 1950 roku pojawiały się lata mniej i bardziej deszczowe, zdarzały się też susze, jednak od ponad siedemdziesięciu lat nie odnotowano tak długiej i z tak niskimi opadami jak obecna.

Jak już wiemy, trwa trzynaste lat, a ostatnie cztery z nich należą do najbardziej suchych w całej historii kraju.

Za obecną suszę w Chile odpowiadają w jednej trzeciej te ze zmian klimatycznych, które spowodował człowiek – takie są szacunki badaczy z Centrum Nauki o Klimacie Uniwersytetu Chilijskiego. Co konkretnie?

Po pierwsze, wylesianie i przemysł drzewny. Obecny proces wylesiania i nasadzeń drzew nienatywnych rozpoczął się, jak wiele chilijskich nieszczęść, za dyktatury Pinocheta. To wtedy ogromne powierzchnie publicznych lasów państwo sprzedało za grosze prywatnym właścicielom: trzem wielkim firmom leśnym, kilkuset średnim i około 24 tysiącom drobnych właścicieli. Chile zaczęło hojnie subsydiować sadzenie drzew w celach merkantylnych: przede wszystkim sosen i eukaliptusów, które są nienasyconymi wodopijcami. Sprzedaż drewna i jego pochodnych to jedno z największych w Chile źródeł dochodów z eksportu.

Deforestacja przyniosła przemysłowi drzewnemu fortunę za cenę destrukcji środowiska oraz przyczynienia się do globalnego ocieplenia i kryzysu wodnego. Żeby móc posadzić drzewa o przeznaczeniu przemysłowym, trzeba było dokonać gigantycznej wycinki rodzimych lasów. Taka działalność niszczy ekosystem, gatunki roślin, zwierząt i owadów, prowadzi do erozji gleby. Wywołuje także „odwodnienie” całego organizmu przyrody i zwielokrotnia ryzyko pożarów.

Według międzynarodowego badania Uniwersytetu Stanowego w Montanie w USA, opublikowanego w 2018 roku, to plantacje drzewne są głównym winnym pożarów lasów w Chile. Państwo to „zastąpiło rodzime lasy, bardziej zróżnicowane i mniej podatne na ogień, egzotycznymi plantacjami lasów homogenicznych, podatnych na pożary, a ponadto dokonało tego w czasach, w których klimat staje się coraz gorętszy i suchszy” – mówił magazynowi „Patagon Journal” w styczniu 2019 roku Dave McWethy, główny autor badania. W 2017 roku doszło do rekordowych pożarów: spłonęło ponad 450 tysięcy hektarów lasów, głównie w regionach Maule i O’Higgins.

Wylesianie to także jedna z fundamentalnych przyczyn wzrostu temperatur. Badacz z Uniwersytetu Chilijskiego, Alvaro Salazar,